50 gr.

Świat dziewcząt

N. 21



Warszawa, dnia 10 października 1933 roku



NASZA OKŁADKA

Na okładce uśmiecha się dziś do Czytelniczek ciemna, ładna twarzyczka młodej Berberyjki. Zamieszkuje ona gorącą Afrykę, nie trzeba jej jednakże mieszać z Arabką, gdyż jest to zupełnie inna rasa, pochodząca od dawnych Numidów. Jak żyje i co myśli dziewczyna Berberyjska opowie następny numer „Świata Dziewcząt".

Z. M.

ASPARAGUSY

Naukowa nazwa tej rośliny brzmi: „Asparagus officinalis", po polsku: „Szparag lekarski". Zapewne wszyscy wiemy, że jest to roślina wieloletnia. Oprócz tego są jeszcze dwa rodzaje asparagusów, t. j. „Asparagus Sprengieri", oraz „Asparagus Plumosus".

Asparagus Sprengieri rozmnaża się z nasienia posadzonego w ziemię, składającą się z liściastej i gnojowej, a gdy roślina wyrośnie na 5 — 8 cm., przesadza się ją do większej o jeden numer doniczki, lecz nie pojedyńczo, tylko po pięć do ośmiu roślinek razem; wygląda to wówczas, jak kępa zielona i puszysta.

Po roku roślina puszcza długie, zwisające pędy, okryte zielonemi szpilkami. Ażeby dobrze rosła, trzeba ustawić ją w miejscu, gdzie jest dużo światła, lecz gdzie niema słońca. Jest wiecznie spragniona, musi więc mieć stale dużo wody na miseczce.

Lepiej podlewać ją w ten sposób, by nie wlewać wody do doniczki, lecz na spodek, gdyż wówczas korzenie, ciągnąc wodę, więcej pracują.

Na korzeniach Asparagusa rosną małe bulwki, podobne do młodych kartofli. Jeżeli podczas przesadzania znajdziemy ich za dużo, trzeba zewnętrzne bulwy ostrożnie oberwać, nie dobierając się do wnętrza. Bulwy te przy korzeniach są rodzajem zbiornika na wodę, ratującego korzenie w razie niedochodzenia do nich wilgoci. Asparagus w drugim roku wegetacji okrywa się w lipcu białem, drobnem kwieciem o silnym, nudnawo - słodkim zapachu, a po okwitnieniu zawiązuje się owoc w kształcie czerwonej jagody, która dojrzewa aż do wiosny; wówczas powierzchnia jej marszczy się i usycha ,a ziarnko wewnątrz nabiera czarnej barwy i jest już zdolne do wydania nowej rośliny.

Trzeba te nasionka wyłuszczyć z owocu i przechować w suchem miejscu aż do stycznia.

W styczniu posadzić je w ziemię, przykryć tafelką szklaną i dalej pielęgnować.

Drugi rodzaj nazywa się „Asparagus Plumosus"; jest delikatniejszy od poprzedniego, lubi również cień i dużo wody na miseczce. Okryty jest cały drobnemi pióreczkami zielonemi i robi wrażenie delikatnej paproci.

Hodowla jego jest zupełnie identyczna z hodowlą poprzedniego. Zauważyć się daje różnicę w sposobie rozmnażania. Asparagus Plumosus można również rozmnażać przez dzielenie całej kępy na części i rozsadzanie ich do małych doniczek.

Asparagusy są bardzo dekoracyjne, jako ozdoba ściany, a zarazem praktyczne, gdyż można z nich wycinać pojedyńcze pędy i przybierać niemi nakrycia stołu, lub stroić wiązanki kwiatowe.

Marja Stefkowa.

CHCĘ WSZYSTKO UMIEĆ

Wysłać list — czy to takie trudne? No nie! ale i to, jak wszystko na świecie — trzeba umieć zrobić!

Trzeba np. wiedzieć, że na list zwykły nalepia się znaczek za groszy 30, a na list tak zwany polecony, na który dostajemy pokwitowanie, żeśmy go wysłali, jeszcze dodatkowo znaczków za groszy 60. Trzeba wiedzieć, że znaczki nalepia się z prawej strony u góry koperty, że adres pisze się wyraźnie, podkreślając nazwę urzędu pocztowego, że na odwrocie koperty pisze się adres nadawcy, żeby poczta zwróciła list wysyłającemu, gdyby nie mogła doręczyć go adresatowi. A jeżeli wysyłamy list polecony, piszemy to z lewej strony u góry koperty.

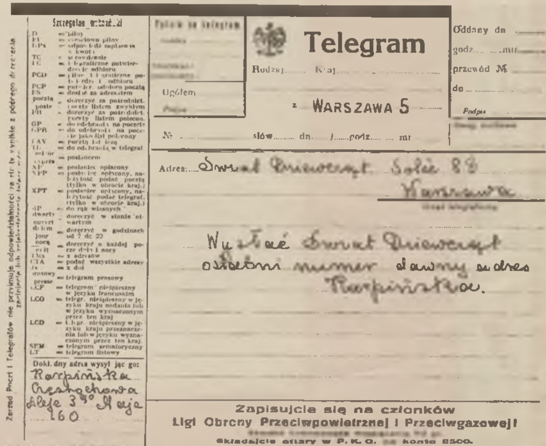
Trzeba też wiedzieć, że kiedy chodzi o pośpiech, wysyłamy tak zwany *express*. Kosztuje to więcej dodatkowo jeszcze 80 groszy, ale za to list będzie wręczony natychmiast po otrzymaniu go przez urząd pocztowy, bez względu na porę dnia.

W wypadkach, kiedy express nie byłby cość szybkim sposobem porozumienia się — wysyłamy *telegram*.

Telegram nadaje się w urzędzie pocztowo-telegraficznym. Najlepiej używać do tego specjalnego blankietu, który podajemy obok. Ponieważ w telegramach płaci się za każdy znak przestankowy po 15 groszy, staramy się pisać tylko to, co jest koniecznie potrzebne. Oprócz opłaty za tekst telegraf pobiera jeszcze dodatkową opłatę groszy 50 za telegram zamiejscowy i 25 za telegram miejski.

Musimy też dodać, że za jeden wyraz w telegramach miejskich płaci się tylko pięć groszy, a w telegramach, wysyłanych zagranicę, w zależności od taryfy, obowiązującej w każdym kraju.

Z. P.



Rok I. Warszawa, dnia 10 października 1933 r. Nr. 21



ZAPAMIĘTAJ!

Jeżeli z okna twego mieszkania, czy twojej klasy widać drzewa, spójrz na nie teraz. Tydzień temu były jeszcze zielone. Od wczoraj pociemniały. Jakaś szlachetna sadź pokryła liście. Jeszcze dzień, dwa — jeszcze tydzień, a pożółkną. Przejdą przez gamę dziwnych odcieni — od zieleni do gorącego złota. Rok w rok dzieje się w naszych oczach ten cud przemiany: to idzie jesień.

Pomyśl: oto życie płynie. Mijają jedne za drugiemi wiosny, gorące lata, jesienie, zimy. Dzieje się tak obok nas. Czyż warto poświęcać temu uwagę? Czyż jest to coś związanego z treścią, z istotą samego życia?

Życie to przecież: dom, szkoła, rodzina. Praca — odpoczynek — zabawa. Czyż jest w niem coś więcej jeszcze? Wzruszenia, smutki, radości? Iluż ludzi widzi je tylko w tym kręgu: rodzina, dom, praca, zabawa. Dziwny krąg.

Potem będzie przecież taki dzień, gdy pomyślimy o rachunku. Podsumujemy nasze dotychczasowe życie. I może pomyślimy wówczas:

— Wtedy, gdym postanowiła... gdym dokonała, gdy mi było dobrze, gdy było smutno — tak — to była jesień. Liście były złote.

To przecież — nie *treść* wspomnienia. To tylko *tło*, po którem przepływa nasze życie.

Dla wielu ludzi tło nic nie znaczy. Ale ten, którego dzieje płyną razem ze sprawami drzew, poranków, wieczorów, kwitnących i jesiennych sadów, zdobywa w życiu jeszcze jedną wartość — piękno.

To nie jest nic — ta jedna sekuda, czy dwie, czy trzy. Jeśli zachwyt chwyci za gardło wzruszeniem, to jest też coś warte. Kiedyś pomyślisz: wtedy było ciężko: matka i ojciec mieli dużo trosk. Ktoś chorował. Ktoś miał strapienie; ale przypomnisz sobie także jakiś spacer przez pożółkły ogród, przedziwne światło i cienie na stawie. I uśmiechniesz się. To było dobre.

To jeszcze dziś rozjaśnia szarość wspomnienia.

A wówczas chwila taka była pociechą.

Była wartością. Coś dała, coś przyniosła.

Nie była niczem konkretnem, nie rozwikłała zagmatwanej sprawy. Nie przerwała materjalnej troski, jak złoty pieniądz. To były przecież *tylko* złote liście.

A przecież wspomina się je milej, niż banknoty. Zdaleka — z przestrzeni czasu — wyglądają przy nich pieniądze jak liczmany.

— Jaki miły był jesienny wiatr na wyszczypanych słonemi łzami policzkach. Szarpał nad głową jesienne drzewa. Tak, to było piękne.

— Czas płynie. Nie pozwól, by ci spłynął z rąk, jak woda. Chwile są ważkie. Każda niesie w sobie treść twego dnia. W każdej coś ożywa, coś się staje. To ty żyjesz. Obok ciebie żyją i liście. Blisko. Bliżej niż myślisz. Wszystko się zazębia — twoja wiosna — twoja jesień. Twoja i drzew. Pozwól sobie na luksus „niepotrzebnych" myśli. Spójrz do góry. Nad głową wiatr szarpie jesienne gałęzie. Nie mów nic. Niech mówi przyroda. Mówi do wszystkich, choć nie wszyscy chcą jej słuchać. Przyjaciółko — patrz i słuchaj.

Widziałaś pierwszy złoty liść i wiesz, że idzie jesień. Wiesz, co to znaczy: początek roku szkolnego, ...niedługo Boże Narodzenie... uczyć się porządnie — jeszcze czas — do końca roku szkolnego daleko (stary, a zły obyczaj uczniowski). Ale wiedz także, że to czas, kiedy co rano wiszą nad ziemią wilgotne mgły, przez które świat wygląda nie tak, jak latem. Dzieje drzew niech choć przez chwilę będą ci bliskie. Wiatr nawieje skądś zdaleka myśli inne, szerokie, jakby dane od Boga.

Wtedy stanie się rzecz dziwna — przypadkowe spojrzenie zamieni się *w doznanie* piękna. Sprawa oczu — wzroku, który spoczął na złotych drzewach — stanie się sprawą odczucia. Dokonał się przerzut w inne dziedziny— intelektu, serca. To piękno zatarga duszą. Mózg zawibruje. I oto wzbogaci się życie. O jedną chwilę, przeżytą inaczej, o jedno wzruszenie. Nie miejmy sennych dusz. Niech je budzi szelest ogrodu, wiatr, który gra (słuchaj, słuchaj!) jak muzyka.

Wzruszenia, które daje natura, są czyste. Nie zbruka cię drżenie, z którem nadsłuchiwać będziesz wyjącego za oknem wiatru. W głosach przyrody słychać czasem patos. To nie trzęsą się chore nerwy w wyczekiwaniu na epilog jakiegoś sensacyjnego procesu. To wielkie wzruszenie targa tobą.

Te przeżycia, których motorem są wzruszenia, płynące zzewnątrz, przeżycia, które, spowodowane spojrzeniem, czy zasłuchaniem, staną się podobne do wzruszeń z dziedziny moralnej. Tak, jakbyś zrobiła coś dobrego, poczujesz ciepło serca. Warto spojrzeć twarzą w twarz jesieni, być choć przez chwilę blisko rzeczy Nieskończonych. Błaha, drobna rzecz, ujrzana nagle pod innym kątem widzenia, staje się często punktem zwrotnym dla myśli. Liście jesienne opadają. Zatrzymaj się i liść, który z szelestem upadł ci pod nogi i sprawił, że przez chwilę pomyślałaś o złotych drzewach, jak o pięknie nieskończonem — zapamiętaj.

Hanna Januszewska.

TWORZYMY POLSKĘ

Drogowskazy życiowe.

Gdy na zawsze zamykają się za nami drzwi szkoły, z niejednej piersi wydobywa się westchnienie ulgi.

— Nareszcie! Najtrudniejsze już poza nami!

A przecież dopiero teraz stajemy w obliczu najpoważniejszego zagadnienia:

— Co dalej robić?

Bo szkoła powszechna albo średnia jest tylko kładką, po której przechodzimy do szkoły zawodowej lub do wyższej uczelni. I dopiero po jej ukończeniu otwierają się przed nami na oścież podwoje życia.

Przejście przez ten próg jest zazwyczaj trudne, gdyż tylko niektóre dziewczęta zdradzają od najmłodszych lat zdolności w określonym kierunku i nie mają kłopotu z wyborem zawodu. Ale większość nie wie, w którą stronę się udać. Waha się. Jedna chciałaby zostać krawcową, a nie wie, czy posiada zdolności do krawieczczyzny. Inna pragnie poświęcić się pielęgniarstwu, lecz jest nerwowa i wrażliwa.

— Moi rodzice chcą, abym skończyła gimnazjum, a ja nie mam zdolności do nauki. Więc co robić?

— Pragnę zostać gwiazdą filmową, lecz nie wiem, czy jestem fotogeniczna...

Na wszystkie te pytania odpowie wam Poradnia Zawodowa Dla Dziewcząt Stow. Służby Obywatelskiej, której zadaniem i celem jest badanie i udzielanie porad w sprawie wyboru zawodu. Mieści się ona w Warszawie na ulicy Wspólnej Nr. 81.

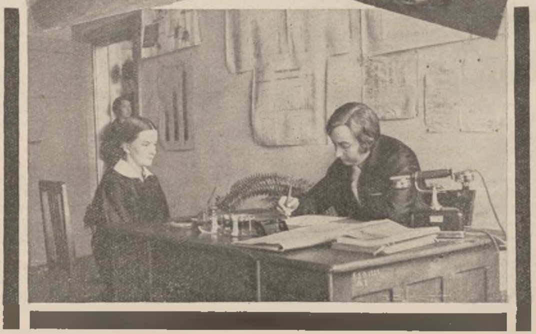
Poradnia została założona dopiero w 1927 roku. W pierwszym roku swojego istnienia udzieliła porad zaledwie 500 dziewczętom, a w 1932 już 2.000!

Poradnia bada stopień inteligencji dziewcząt, ich spostrzegawczość, zręczność, orjentację i t. d. Badania odbywają się w szkołach powszechnych bezpłatnie, ale można dać się zbadać indywidualnie za opłatą 10 zł.

Każda uczenica w szkole wypełnia kwestjonarjusz i odpowiada piśmiennie na szereg pytań. W jakich warunkach mieszka, czem się zajmuje jej ojciec, matka, rodzeństwo, jakie przedmioty w szkole należą do jej ulubionych, co robi po lekcjach, czy lubi sporty, jaki zawód pragnie obrać, jakie wady i zalety widzi w sobie i t. d., i t. d. Te odpowiedzi, opinja wychowawczyni i badania lekarskie stwarzają dość wyraźny duchowy obraz dziewczynki, który następnie uzupełnią badania indywidualne. Rozpoczynają się one od długiej rozmowy z kierowniczką Poradni. Rozmowa taka odbywa się w cztery oczy. Omawiane są te same kwestje, na jakie uczenica odpowiedziała w kwestjonarjuszu, ale o wiele dokładniej. Badana początkowo wstydzi się i krępuje, ale pani Zdziarska, kierowniczka Poradni, zna dobrze młodociany świat i potrafi zdobyć zaufanie kandydatki!







Rozmowa z kierowniczką to dopiero wstęp do dalszego badania.

Na stołach leżą dziecinne zabawki i w pierwszej chwili nie mogę zrozumieć, co one mają wspólnego z tak ważnem zagadnieniem, jak wybór zawodu.

— Zaraz pani zobaczy — uśmiecha się kierowniczka.

Stawia przed kandydatką sześcian, złożony z małych, drewnianych sześcianków, pomalowanych z dwóch stron na niebiesko. Należy go rozłożyć na kilka grup według ilości malowanych i niemalowanych sześcianków, a potem ułożyć w duży sześcian, według pierwotnego wzoru. Na stoperze notuje się czas, w jakim praca jest wykonana. Jest to próba na dokładność.

Zdawałoby się łatwe zadanie. Ale ile omyłek zdarza się podczas układania sześcianków!

Albo też kładzie się przed kandydatką szereg płytek metalowych. Niektóre są gładkie, inne chropowate w mniejszym lub większym stopniu. Kandydatka, orjentując się tylko dotykiem, powinna ułożyć płytki w tym samym porządku, w jakim leżały pierwotnie: próba subtelności palców.

Kandydatka na szwaczkę otrzymuje pasemka różnokolorowej włóczki, które musi dobierać według odcieni. Potem stawia się przed nią czerwoną tablicę i szereg niebieskich deseczek rozmaitego kształtu.

— Niech ci się zdaje, że niebieskie deseczki to skrawki materjału — mówi kierowniczka. — Pokryj niemi czerwoną tablicę w najbardziej oszczędny sposób.

Dziewczynka zabiera się do roboty, a stoper notuje czas.

Kandydatki na tkaczki bada się w inny sposób. Na ścianie wisi tablica, zaopatrzona w haczyki. Dziewczynka musi przeciągnąć przez haczyki sznurek według wzoru. A nieubłagany stoper notuje czas...

Potem — znowu rozmowa.

— Czy znasz dobrze zawód, który chcesz obrać? — pyta kierowniczka.

Rzadko pada twierdząca odpowiedź. Skąd zresztą uczenica szkoły powszechnej lub nawet maturzystka może dokładnie wiedzieć, na czem polega praca urzędniczki, szwaczki, nauczycielki i t. d.?

Poradnia wydaje książeczki, traktujące o zawodzie rękodzielniczym, społeczno-wychowawczym i biurowo-handlowym. Niezadługo ukaże się jeszcze jedna, obejmująca zawód gospodarczy. Pozatem w Poradni demonstruje się filmy, ilustrujące rozmaite zawody.

— Więc pielęgniarstwo jest takie trudne? — wzdycha z rozczarowaniem dziewczynka po obejrzeniu filmu. — Wyobrażałam sobie pracę wśród chorych zupełnie inaczej!

— Nie myślałam, że w krawiectwie kryje się tyle poezji! — woła z entuzjazmem inna.

W mniejszych miastach filmy zastępują przezroczami taśmowemi, które również demonstrują pracę rozmaitych zawodów.

— Lepiej ucz się rękodzielnictwa, a nie nauczycielstwa — mówi kierowniczka po skończonem badaniu, trwającem 2 — 3 godzin, podczas którego zdążyła poznać kandydatkę.

17 do 20 proc. dziewcząt, wchodząc do Poradni, postanawia się poświęcić zupełnie innemu zawodowi, niż temu, do którego ma naprawdę zdolności. I dopiero Poradnia odkrywa w nich istotne zamiłowania i kieruje na właściwą drogę.

— O ile dziewczynka wstąpiła do jakiejś szkoły zawodowej wbrew wynikom badania, uczy się źle i często musi ją opuścić — tłumaczy p. Zdziarska.

Wiele cierpliwości, taktu i łagodności wymaga praca kierowniczki.

— Radzę ci wybrać inny zawód, a nie ten, któremu chciałaś się poświęcić — mówi kandydatce.

I nigdy nie zniechęci dziewczynki bezwzględnem twierdzeniem:

— Nie masz zdolności w tym kierunku.

Niestety, tych Poradni jest u nas jeszcze bardzo mało. W Warszawie oprócz Poradni Służby Obywatelskiej, o której wam opowiedziałam, istnieje tylko Miejska Poradnia Psychotechniczna, Szpitalna 10 i żydowska, im. inżyniera Kraushara, Leszno 11. Pozatem są takie Poradnie w Krakowie, Wilnie, Poznaniu, Toruniu, Grudziądzu, Katowicach i Bielsku.

Poradnia jest instytucją, która odda wam duże usługi. Nie będziecie kroczyły w życiu niewłaściwą drogą, nie będziecie popełniały omyłek, które kosztują dużo pieniędzy waszych rodziców, a was narażają na zniechęcenie i rozczarowanie. Wybór zawodu jest bardzo ważną sprawą, a praca daje tylko wtedy zadowolenie, o ile wykonywa się ją z prawdziwem zamiłowaniem.

Dobrze jest to sobie uświadomić teraz, kiedy jeszcze jesteśmy w szkole, i możemy się namyśleć, co chciałybyśmy, a co potrafiłybyśmy najlepiej robić. Bo, niestety, „chcę" i „potrafię" nie zawsze pokrywają się ze sobą. I, co jest gorsze, nie zawsze dobrze wiemy, czego naprawdę chcemy, bo nie wiemy, jakie są zawody, jakie szkoły i jakie możliwości pracy. W „Świecie Dziewcząt" mówi nam o tem „Za progiem szkoły". W życiu praktycznem — Poradnia.

St. Osińska.

LATAJĄCE DZIEWCZĘTA

Przyszły razem wszystkie cztery. Strasznie młode i bardzo ładne. Odrazu ogromnie się wszystkim podobały. I że takie młode, i że ładne, i dlatego także, że się miało wrażenie, że nic sobie z tej swojej urody nie robią. Ani nawet z tego, że są przedstawicielkami tak mało jeszcze u nas rozpowszechnionego lotnictwa kobiecego, że całe to zebranie odbywa się dla nich, na ich cześć.

Nie były ani zarozumiałe, ani zażenowane, nie robiły gwiazd. Na krzyżowe pytania, czasem bardzo naiwne, a często zupełnie nie rzeczowe odpowiadały cierpliwie, uprzejmie i bardzo poprostu, bez stylistycznych zakrętasów, tajemniczych niedomówień, nawet bez cienia zgorszenia, że większość zgromadzonych przedstawicielek prasy nie wie, co oznacza czasownik „rulować", ani co to jest „kapotaż".

Zapytano, oczywiście, jaka jest najmilsza w życiu lotniczki chwila (takie sobie, głupawe pytanie, z tej kategorji, jakiemi się zadręcza grzeczne dzieci: — kogo więcej kochasz, tatusia, czy mamusię?). Odpowiedziały niemal chórem, że — pierwszy samodzielny lot. Ale p. Olszewska zaraz sprecyzowała, że może raczej pierw-



Pani Olszewska i pani Danuta Sikorzanka.



sze oderwanie się od ziemi. A jeszcze któraś (zdaje się, że p. Czyżewska), że uświadomienie sobie posłusznej zwrotności aparatu.

Potem znowu którąś z dziennikarek zapytał okropnie fachowo o pierwsze „kraksy" (z lubością wymówiła to dziwne słowo, w którem jakby się wyczuwało trzask łamanego drzewa). Panna Danuta Sikorzanka uśmiechnęła się, jakby z dobrego żartu i opowiedziała o tem, co się jej wydarzyło na meetingu lotniczym w Grodnie.

— Proszę sobie wyobrazić, że doleciałam zupełnie szczęśliwie. Mój pasażer wysiadł i poszedł zameldować czas przybycia w komisji. A ja rulowałam sobie spokojnie do zbiornika z benzyną. „Rulować" to znaczy, proszę pań, toczyć się po ziemi, na kołach aparatu. Strasznie niezgrabny jest taki spieszony samolot, nieporadny. Aż tu silny wiatr wionął pod lewe skrzydło. Podniósł skrzydło i przewrócił awionetkę na plecy.

— Jeżeli awionetka znalazła się na plecach, to pani chyba... na głowie?

— A tak — na głowie. Ale jakoś momentalnie wyskoczyłam. I szczęśliwie okazało się, że aparat zarówno jak i ja wyszedł z przygody bez szwanku.

— No to ja miałam ciekawszy wypadek, oznajmiła figlarnie p. Olszewska. Wiatr przewrócił mi maszynę, podobnie jak Danucie, mnie i maszynie nic się nie stało, ale mój pasażer wybił sobie kilka zębów. To dopiero klął...

P. Olszewska śmieje się przekornie i potrząsa ciemną czuprynką. Najmniej mówi p. Hania Henneberżanka. Może dlatego, że ostatnio zupełnie nie latała. Spędziła sześć miesięcy w Otwocku. To smutne. Tem smutniejsze, że przestała także i malować. A p. Henneberżanka ma duży talent. Pamiętam urocze batiki, prześliczne w rysunku i barwie, które wystawiała w Zachęcie, jako początkująca uczenica Szkoły Sztuk Pięknych. Ale z tem zdrowiem to się chyba poprawi. Jest taka młoda, tak silnie zbudowana.

A tu tymczasem p. Danuta opowiadała takie dziwy o lataniu na szybowcach, takie dziwy, że laikom bielało oko i nasuwały się myśli podejrzliwe, że ta poważna, skupiona panienka poprostu kpi sobie z prasy na funty. Ale ona mówiła całkiem serjo o tem, jak się szybowiec odłącza od holującego go aeroplanu (co ma być bardzo miłe, bo zawrotna szybkość pędu zostaje odrazu złagodzona) i pozostawiony własnym siłom szuka sobie warstw ciepłego powietrza, sprzyjających unoszeniu się w górę (takie skłębienia atmosferyczne nazywają się cumulusy). Mówiła chyba dosłownie tak.

— Należy unikać chodzenia po niebieskiem niebie, bo to nic nie daje. Powinno się upatrywać chmury i starać się na nie dostać. Nie wszystkie są jednakowo gościnne. Zdarzają się duszące prądy. Łatwo je rozpoznawać...

Zagapiłam się z tak zabobonnym lękiem na młodą płanetnicę, że nie dosłyszałam, po czem można odróżnić chmurę gościnną od niegościnnej. Bo też jeszcze narazie nie codzień spotyka się osoby przechodzące się po niebieskiem niebie i dosiadające chmur. Zła na siebie samą za to niemądre zagapienie postanowiłam ściągnąć pilotkę z obłoków.

— No dobrze, ale niech nam pani powie, jakie jest praktyczne zastosowanie szybowców, co za sens takiego spaceru między chmurami, w dół i w górę. Nie obraziła się, odpowiedziała poważnie.

Szybowce mają bardzo istotne zastosowanie praktyczne w zakresie pedagogji. Nauka lotnictwa, jak paniom zapewne wiadomo, jest i musi być bardzo kosztowna. Samolot z motorem kosztuje kilkadziesiąt tysięcy, a szybowiec — trzy. Więc uszkodzenie, czy nawet rozbicie aparatu nie jest tak katastrofalne.

— A uszkodzenie człowieka?

— O, o tem, o niebezpieczeństwie osobistem nie myśli się wcale, wtrąciła milcząca dotąd p. Henneberżanka. Najgorszy jest ten nieustanny strach o aparat. Zwłaszcza, że niechęć powierzania cennego sprzętu lotniczego istotom tak mało odpowiedzialnym jak kobiety jest przyczyną wielu trudności, z jakiemi pilotki muszą wciąż walczyć w aeroklubach.

— To dziwne, ja zawsze słyszałam o tem, że wadą kobiet jest przerost poczucia odpowiedzialności.

— No, a rodziny pań? Chyba z umiarkowanym entuzjazmem przyglądają się nadpowietrznym wyczynom swoich lotnych latorośli.

Zawrzało zgodne oburzenie.

— O, przeciwnie! Moja matka... mój ojciec... Strasznie są dumni.

— Oczywiście, że są dumni, ale muszą chyba umierać ze strachu o panią.

— Bać się?... Dlaczego? Przecież na kolejach też zdarzają się katastrofy. A w samochodach?... I nikt się przecie nie boi.

— Ja kiedyś zabrałam do samolotu własną matkę i przyleciałam na meeting do Krakowa — oznajmiła p. Sikorzanka.

— A ja latam z własnym mężem — zameldowała rezolutnie p. Olszewska.

— To może on był właśnie tym pasażerem, co stracił zęby?

— A nie, wtedy to był obcy.

Salwa śmiechu. Pierwsza poważnieje panna Danuta.

— A swoją drogą dobrzeby było, żeby prasa ostrożniej i z większem zrozumieniem pisała o lotnictwie, zwłaszcza o wypadkach. Pisma codzienne raz po raz donoszą tłustym drugiem: — Straszliwa Katastrofa Lotnicza! — o zwykłych kapotażach. Czytają to rodziny lotników i naturalnie niepokoją się o swoich bliskich. Największą wadą lotnictwa — jako sportu — jest narazie jego wysoki koszt i trudność zdobycia aparatu do celów sportowo-cywilnych. Zwłaszcza dla kobiet.

Tu pomyślałam, że wartoby zafundować naszym lotniczkom awionetkę taką, do której miałyby prawo tylko kobiety. Przynajmniej jedną, a może więcej, bo przecie warto zaprezentować nasze latające dziewczęta na międzynarodowym Challenge'u. Wiem, że lista składek otwarta już od przeszło roku. Może się uda?

J. K.



P. Danuta Sikorzanka rozmawia z panem ministrem Butkiewiczem.

KULTURA I SZTUKA

MUZYKA NOWOCZESNA

Nowoczesna muzyka! Jak można nie lubić nowoczesnej muzyki? Niecierpię nowoczesnej muzyki!

Przepraszam. Stop! Musimy ustalić, czy mówimy o „nowoczesnej" muzyce tanecznej, lekkiej, czy też o nowoczesnej muzyce poważnej, która nastąpiła po różnych tam Bachach, Mozartach i Beethovenach. Są te obie muzyki i stare i nowoczesne. Tylko pierwsza z nich jest nowoczesna w rytmie i takcie — druga w treści, do której należy i harmonja i kontrapunkt i sposób oraz charakter prowadzenia melodji.

Pomówimy najpierw o nowoczesnej muzyce poważnej, a potem pogadamy sobie o „jazzu", o nowoczesnych tańcach i rytmach.

Otóż ta nowoczesna muzyka poważna, której najznakomitszym w Polsce i nie tylko w Polsce przedstawicielem jest Szymanowski — bardzo jest podobna do muzyki... średniowiecznej. Kto choć trochę umie grać na jakimś instrumencie — ten wie, co to jest skala, czyli gama. Ten porządek tonów ustalił na długie lata znakomity kompozytor niemiecki Jan Sebastjan Bach. W jego „gamach", czyli tonacjach tworzyli i Mozart i Beethoven i Schumann i Szopen i Wagner. Ale to zaczęło ludzkości nie wystarczać, zaczęto szukać nowych połączeń tonalnych, które nie zgadzały się ze staremi regułami. Zaczęto rozumieć, że konsonans, czyli zgodny dźwiek, nie daje nam tych odczuć, których dusza ludzka potrzebuje, zaczęto wierzyć i słusznie w to, że dyssonans, czyli dźwięk pozornie niezgodny, jest daleko „zgodniejszy" z wyobrażeniami naszej niezgodnej w samej swej istocie duszy ludzkiej. Zmienne i burzliwe nasze uczucia i przeżycia nie dają się zamknąć w „grzecznych" konsonansach. Dalej idźmy. Te z was, które grają na instrumentach smyczkowych, wiedzą doskonale, że między *c* i *cis* jest jeszcze jakiś ton, który, ani jednym, ani drugim nie będąc, nadaje danej melodji zupełnie inny charakter.

Kto ma tak zwane dobre muzykalne ucho, ucho nie zepsute nauką gry na fortepianie, ten słyszy przecież, że chłop śpiewa i gra na fujarce „inaczej", tak jak tylko to można wygrać na skrzypcach, ale nigdy na fortepianie. To „inaczej" — to ćwierć tony, to te miejsca między *cis* i *c*, te, które osłuchany tylko z „urzędową" muzyką mieszczuch bierze za „fałszywe". Ale przecież nie może tysiąc muzyków grać prawidłowo, a cztery miljony, czy trzydzieści miljonów chłopów śpiewać fałszywie...

Muzyka nowoczesna nie jest jednak powrotem do muzyki ludowej, do jej oberków, czy krakowiaków, do landlerów, czy kozaków. Jest ona nawrotem do *ogólnego* słyszenia w przeciwieństwie do *umówionego* słyszenia, narzuconego nam przez muzykę od Bacha aż po Ryszarda Straussa.

Muzyka nowoczesna jest muzyka prosta i jasna. Naturalnie są wśród nas ludzie tak zacofani, że dla nich muzyka kończy się naprzykład na Szopenie, czy nawet Beethovenie. Ludzie ci Ryszarda Straussa, czy nawet Wagnera gotowi są jeszcze dziś uważać za nowoczesnych muzyków. Wielki to błąd! Muzyka wagnerowska, czy straussowska, choć pełna dyssonansów (jak zresztą i muzyka Szopena była dyssonansowa), jest tylko bardzo złożoną i skomplikowaną formą muzyki dawnej, beethovenowskiej. Wielka, złożona z kilkudziesięciu instrumentów, orkiestra Straussa ustępuje dziś zespołom prostszym i jaśniejszym.

Nowa muzyka — to muzyka jasności i światła. To — powiedzmy otwarcie — naga sztuka, nie przybrana ani w klasyczne szaty Mozarta, czy Beethovena, ani w romantyczne Schumanna, Szopena, czy Wagnera. To wyraz uczuć muzycznych i porzucenie literatury w muzyce. Tu niema żadnych „burz i pogody po burzy", żadnych „oczekiwań na miłego", czy „troski rozstania". Muzyka odtwarza nasze uczucia — ale dźwiękiem, nie słowem. Nie może być tłumaczona inaczej, jak dźwiękiem, który jest jej jedynym sposobem wypowiedzenia się.

Muzyka nowoczesna — to przywrócenie godności samej muzyce i uwolnienie jej od literackiego balastu. To muzyka taka, jaką słyszą wszyscy i ci „muzykalni", a w muzykalności swojej uparci i ci „niemuzykalni", których jest legjon. Jest to muzyka „ludu" w najlepszem, choć ogólnem, tego słowa znaczeniu.

Kiedy was ktoś zapyta, kto to jest Schönberg, czy Hindemith (Niemcy), albo nawet, z pewnemi zastrzeżeniami, kto to jest Ravel (Francja), powiedzcie tak: to jest muzyka nowoczesna. Zapytane o Polaków, powiedzcie: mistrz Szymanowski i ci, którzy poszli swojemi dróżkami przez niego utorowaną drogą: Kondracki, Perkowski, Makłakiewicz i pomniejsi.

Ale pamiętajcie o jednem — muzyka nowoczesna, to muzyka was wszystkich. O niej pomyślcie i pokochajcie ją.

M. K.

10 DNI W ŚWIECIE

Dnia 25 września o godzinie 10-ej wiecz., mało znana przeciętnym śmiertelnikom, ale dobrze obserwowana przez astronomów, planet Algol (Beta) w konstelacji Perseusza „skurczyła się" do rozmiaru gwiazd czwartej wielkości, żeby po 4 godzinach wrócić do dawnych wymiarów.

Zjawisko to, które było częściowem zaćmieniem, tłumaczy się tem, że między ziemią i Algolem stanął jego księżyc.

Musimy dodać, że to, co astronomowie obserwowali dnia 23 września 1933 roku działo się.. przed 120 laty, bo tyle czasu trzeba, żeby promienie Algolu dotarły do ziemi. Przed 120 laty, to znaczy w roku 1813. W tym roku książę Józef Poniatowski zginął w falach Elstery...

Ale wróćmy do teraźniejszości.

Czy wiecie, że jednym z najbardziej popłatnych zawodów w Ameryce jest... łapanie much? Muchy te się suszy i wysyła do Europy, gdzie służą za pożywienie dla ptaków i ryb. Jedna tylko Anglja kupuje rocznie przeszło 50 tonn suszonych much dla mieszkańców swoich ogrodów zoologicznych i akwarjów.

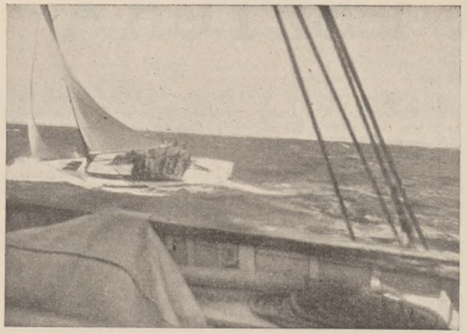
Znacie powieść Haggarda „Kopalnia Króla Salomona"? Jeżeli nie — radzę wam ją przeczytać! Tę legendarną kopalnię odkryli przed kilku dniami w Etjopji inżynierowie włoscy, pracujący przy budowie kolei. Robiąc pomiary, natrafili na otwór, wycięty sztucznie w jednej z gór. Otwór ten okazał się wejściem do długiego korytarza, kończącego się wielką grotą. W grocie znaleziono prymitywne kilofy i inne narzędzie górnicze. Kopalnia Króla Salomona w powieści Haggarda chroniła bezcenne skarby. Kopalnia, odkryta przez Włochów w Abisynji, jest też swego rodzaju skarbem, gdyż zawiera szereg zabytków z przed 4000 lat.

Ostatni miesiąc obfitował w odkrycie archeologiczne. W okolicach Rzymu odkopano szczątki willi Mecenasa, a pod Forum Leptis Magne — fragment świątyni neopunickiej. W Kremlu znowu, przy rozwalaniu muru tak zwanej dzielnicy chińskiej, robotnicy natknęli się na fundamenty wieży, połączonej z korytarzem podziemnym. Korytarzem tym blokowani w twierdzy obrońcy otrzymywali środki żywności i posiłek, dzięki którym mogli wytrzymywać długie oblężenia.

Odkryć archeologicznych dokonano i na ziemiach polskich. W powiecie lubelskim odnaleziono cmentarzysko przedhistoryczne, a na niem rzadkiej piękności kamienie, urny ciałopalne, bransolety i naszyjniki z bronzu.

Z głębi ziemi wyjdziemy na jej powierzchnię. Niektóre narody mają stanowczo za mało. Do takich narodów należą — Niemcy. Stąd pewnie ich nienasycony apetyt na cudzą własność, jak naprzykład na nasze ziemie... Trzeba jednak przyznać Niemcom, że chcą powiększyć swoje obszary nie tylko drogą rabunku. W końcu września rząd niemiecki przystąpił do osuszenia zatoki koło miasta Friedrichstadt. Osuszenie tej zatoki da Niemcom około 35.000 hektarów gruntu i pozwoli osadzić na roli kilka tysięcy bezrobotnych.

MORZE MA SŁONY SMAK...



Jedziemy na jachtach przez nas wyszorowanych.

Ośrodek Morski w Gdyni[1] — to nie fraszka. Jest nas dziewięć dziewcząt. Reszta — to trzydziestu kilku mężczyzn i osiem jachtów. I porucznik i czterech podoficerów — instruktorów. I od czasu do czasu komandorzy — komisja rewizyjna.

Ośrodek mieści się na molo rybackiem. Olbrzymi hangar — zimowe leże jachtów — to sala sypialna mężczyzn, sala wykładowa i jadalnia. Obok kuchnia, kancelarja i dwa namioty. Jeden dla podoficerów, drugi dla kobiet. Śpimy w łóżkach, na których siennik leży na deskach. W burzliwe dnie wiatr bije o płótno naszego namiotu, miota nim i rwie. Zdaje się, że go uniesie, a nas razem z nim. W nocy jest zimno, w dzień duszno, a zawsze ciasno. Jedzenie jest żołnierskie — kawa czarna, czarny chleb i kartofle z mięsem nieokreślonego smaku.

[1] Zorganizowany przez Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. W tym roku przejęła to Marynarka, kurs taki trwa 2 miesiące.

Pobudka o 5.30 zrywa nas z łóżek na gimnastykę. Kąpiel w głębokiem i naoliwionem morzu przed siódmą z rana nie zawsze jest przyjemnością. Ale zawsze nią jest codzienny, przedobiedni wyjazd na jachtach, a w soboty i dnie świąteczne—wyjazd dwudniowy.

Uczymy się nawigacji, olinowania, sygnalizacji. Uczymy się słów obcych, brzmiących egzotycznie — znanych z książek Conrada i Londona, słów w dotychczasowem naszem pojęciu używanych przez ludzi nie z naszych wymiarów. Operujemy marynarskiemi zwrotami. Wykreślamy kursy na mapie między Gdynią a Helem, pelengujemy się na latarnie morskie (pelengować — brać kierunek) i wiemy, że w taki sam sposób wykreśla się kursy i pelenguje i na Bałtyku i na Oceanie Spokojnym. Jedziemy na jachtach przez nas wyszorowanych, wyczyszczonych i pomalowanych.



Ręce mamy „spalone" od lin.

Załoga kobieca ma własny jacht. Po kilku pierwszych dniach wyjeżdżamy bez instruktora. Jedziemy „ostro" — burta leży w wodzie, a fala nam oczy zalewa. Robimy „zwrot przez sztag" i „zwrot przez rufę". Łowimy „człowieka za burtą". Przybijamy do boji. „Salutujemy przejeżdżające obok statki opuszczeniem bandery. Pokazujemy w uśmiechu białe zęby jadącym na parostatkach letnikom, „zmieniamy hals" i uciekamy przed ciekawym wzrokiem.

Słońce spaliło nas na bronzowo. Woda słona odbarwiła włosy na płowo. Wiatr wysuszył, że skóra spierzchła na twarzy i popękały wargi. Krem, choć najgrubiej z rana położony, po półgodzinnej jeździe znika zmyty przez wodę. Ręce mamy „spalone" od lin (otarte przez szybko przeciągniętą linę), pełne odcisków i skaleczeń. Ciała zmęczone i w siniakach — to przy szybkich zmianach halsu twarde kanty luków i koj zostawiły znaki.

Czujemy się, jak młode wilki morskie. Nie boimy się wiatru, fali, niewygód. Boso, by nie ślizgać się i nie wpaść do wody, w grubych ubraniach z żaglowego płótna w porcie — a na morzu w trykotach — zmagamy się z życiem naszem. Sięgamy w inne niż w codzienne możliwości. Zasmakowałyśmy w słonym smaku nieprzeciętnej przyjemności. To nic, że chłodno i głodno. To nic, że zbrzydłyśmy wszystkie i stwardniały. Zgóry patrzymy na wymanikiurowane, plażujące kobiety. Rezygnujemy na miesiąc z ich możliwości. Trzymamy inny kurs. Poznajemy sens i smak morza.

Nie boimy się go. Sztorm. Na wieży meteorologicznej ostrzeżenie—czarna kula. A my nic — jedziemy na Hel małemi jachtami. Na jednym z nich „Gryfie" załoga składa się z trzech początkujących żeglarek i młodego sternika. Kobiety dzielnie sprawują się. „Gryf" stale jedną burtą idzie pod wodą, a przy zwrocie przez sztag dobrze trzeba uważać na podmuchy wiatru i na „dziadka" (dziewiąta najsilniejsza fala z białą grzywą). Po przyjeździe na Hel porucznik początkujących żeglarek i młodego sternika. Kobiety dzielnie sprawują się, choć „Gryf" stale jedną burtą idzie pod wodą, a przy zwrocie przez sztag dobrze trzeba uważać na podmuchy wiatru i na „dziadka" (dziewiąta najsilniejsza fala z białą grzywą). Po przyjeździe na Hel porucznik pozwolił chętnym na wyjazd w pełne morze. „Gryf" dokooptował sobie bosmana. Kobiety ucieszyły się, że jadą pod dobrą opieką. Jazda była kawalerska. „Gryf" szedł przechylony, że bom grota nurzał się w wodzie, z wybrzuszonemi żaglami. Fale jak wodospady zalewały pokład i załogę. Pomimo zidwestek (ubranie i kapelusz z żółtego pęcherza, b. efektowne) suchej nitki na człowieku, ni włosa na głowie nie było. W kajucie wszystko pływało. Ale — bosman na jachcie — więc wszystko w porządku. Dopiero w powrotnej drodze zauważono, że nasz instruktor jest pod dobrą datą. Śmiechu było nie mało, ale dopiero na lądzie, z tej „asekuracji" w jaką zaopatrzyły się kobiety.



Jedziemy „ostro", burta leży w wodzie.

Przybicie do brzegu w obcym porcie — to zawsze wielkie zdenerwowanie. Żeby przybić jak najładniej. Nie stuknąć w molo i jak najprędzej zwinąć żagle. Letnicy gapią się, podziwiają, jakto w taką pogodę wyjeżdżaliście?! Nawet kapitan portu zdumiony. A my — zmęczone, mokre, zmaltretowane — ale radosne i wesołe — porządkujemy jacht — nawet liny układa się w okrągłe „słoneczka" — porządkujemy jako tako swój wygląd i idziemy jeść. Jak przyjemnie czuć ląd stały pod nogami. Trzymamy się pod ręce — rzędem idziemy środkiem ulicy. Wszyscy uśmiechają się do nas i ustępują z drogi. Jeść! Dużo i tanio! Spotykamy znajomych: zostańcie z nami. Choć na jeden dzień. Wypoczniecie, wyśpicie się, wydobrzejecie. Zgadzamy się. Planujemy gorącą kąpiel, fryzjera, miękkie łóżko. Ale — przychodzi godzina odjazdu — ani jednej z nas nie brak na pokładzie. Jakto — przecież miałyście zostać? Taki wiatr, taka fala, cóż to będzie za jazda! — ktoby tam został.



Jedziemy na Hel.



Zdecydowaliśmy jechać do portów.



Słońce spaliło nas na bronzowo.

Zbliża się koniec kursu. Zbliżają się egzaminy, a przed niemi wycieczka do Szwecji. Niestety, silny Nord-West uniemożliwił nam to. Zdecydowaliśmy jechać do portów na wyspach szwedzkich Götland i Oeland.

8-y sierpnia, choć Urząd Meteorologiczny zapowiedział silne wiatry, zniecierpliwieni oczekiwaniem pomyślniejszej pogody, wyruszyliśmy w drogę. Wyszły dwa pełnomorskie jachty — „Junak" — czterdziestotonnowy kuter z motorem i „Temida II" jol o 125 mkw. pełnego ożaglowania. Na Temidzie załoga składała się z 10 mężczyzn i 2-u kobiet. Ostro poderwał wiatr nasze żagle. Jedziemy lewym halsem na zwiniętym grocie (największy środkowy żagiel, a tylko na kliwrze i foku (przednie żagle) i bezanie (tylnym). Za Helem zrywa się sztorm. Zostawiamy Rozewję na lewym półtrawersie, dryfuje nas silnie na wschód. Fale rozhuśtały się — wysokość morza 8 (rzadko spotykana na Bałtyku. Fale jak góry. Z łomotem spadają na lewą burtę, zlewają pokład, nas, leją się do nieszczelnego luku. Lampa w kabinie zerwała się i stłukła. Nafta zmieszała się z wodą na podłodze.

Światła pozycyjne zgasły. Kliwer pękł. Załoga do zmiany żagla. — Opuścić żagiel, którego płótno wiatr rwie na strzępy i bije niem w twarz, naciągnąć nowy, trzymać się przytem masztów, nie dać się unieść fali do morza, nie stracić równowagi, kiedy poziom pokładu przechodzi w pion, z siłą ciągnąć szkoty (liny żagla), pracować nie tylko mięśniami ale i głową — zachować momentalną reakcję po usłyszeniu rozkazu, szybkość decyzji, orjentacji i doskonałość wykonania. I siłę. I to tak przez szereg godzin. Pokolei darły się żagle, pokolei zmieniało się je, aż wreszcie spuszczono wszystkie podarte i Temida odarta z żagli, z nagiemi masztami stanęła bokiem do fali i do wiatru. Nie pomogła dryfkotwa. (Działa jak wiadro na sznurku zarzucone do wody). Nie wykręciła statku. I gdyby nie Junak, który szczęśliwie trafił na nas, nie wiadomo, jak wyszlibyśmy z tej awarji Junak wziął Temidę na hol i po dwudziestu godzinach jachty wróciły do Ośrodka.

Burza zmogła jachty, zerwała żagle, ale nie zmogła nas, nie odarła z zapału. Kto raz zakosztował przygody, temu mdłe wyda się życie kuracjuszy tak, jak mdłe dla narciarza jest przebywanie w Zakopanem.

Przyszły egzaminy. Kobiety nieźle zdawały. Trzy otrzymały tytuł sternika, dwie sterniczki niestety nie mogły ubiegać się o tytuł kapitana — zamało miały przejechanych mil morskich. Reszta będzie zdawać na rok przyszły, o ile wrócą na kurs, a że wrócą na morze (nie na plażę) — to pewne.

Halina Borman.



Woda słona odbarwiła włosy na płowo.

M. ŻARSKA

PANI PROFESOROWA

HUMORESKA

Wybierając się z ojcem na Zjazd Historyków do Polski, panna Ewelina Rosny wiedziała o tym kraju tyle, co i o wszystkich innych, to znaczy nic. Polska to było dla niej coś pośredniego pomiędzy dziewiczą puszczą, po której gromadami chodzą niedźwiedzie i krajem bohaterów, walczących o wolność. Znała coprawda kilku Polaków w Paryżu, ale ich europejski, normalny wygląd przypisywała wpływowi swojej ojczyzny.

Podróż przez Belgję i Niemcy nic przyniosła Ewelinie żadnych niespodzianek. Belgowie okazali się takimi, jak myślała: Francuzami, mówiącymi nieco innym akcentem niż ona. Niemcy - hitlerowcy byli tacy sami, jak na rysunkach i fotografjach: butni, zuchwali i odrobinę śmieszni.

Niespodzianka zaczęła się dopiero na granicy polskiej.

Ku zdumieniu Eweliny przed oczami jej nie wyrósł dziewiczy las, gdy pociąg wjechał na ziemię polską. Jednostajna równina, niczem nie różniąca się od równiny brandenburskiej. Może trochę mniej osad, ale pociąg taki sam, jak pociągi w innych krajach, a ludzie nie wyglądali ani szczególnie dziko, ani szczególnie „nobles“ i nie zdradzali najmniejszej ochoty do „walki o wolność“. Mówili coprawda dziwacznym językiem z całem mnóstwem świszczących samogłosek, ale wielu z nich rozumiało doskonale piękną mowę Kornela i Racine'a.

Ewelina poczuła się tem lekko dotknięta. Ostatecznie, nie poto jechała 36 godzin, żeby patrzeć na to samo, coby widziała, nie wyjeżdżając z Francji i żeby słyszeć swój ojczysty język!

Czyż możemy się dziwić, że pierwszem zjawiskiem, które w p. Ewelinie wzbudziło odrobinę sympatji, była pokojówka w pensjonacie, która mówiła tylko po polsku?!... Ale i ta egzotyczna, a na dłuższą metę problematyczna przyjemność skończyła się szybko. Do pokoju weszła córka gospodyni i ofiarowała się służyć za tłumaczkę...

Smaczna kolacja, czysta łazienka i wygodne łóżko doprowadziły małą Francuzkę do ostatecznego zniechęcenia. Wyjmując z walizki bieliznę, z niechęcią odsunęła teczkę do listów. Bo i cóż ma pisać do Denise Mauriac albo Madeleine Gourmet, które jej tak zazdrościły przygody w kraju „des nobles Polonais“? Że Warszawa jest mniejsza od Paryża, że na ulicach panuje mniejszy ruch, ale, że tramwaje, auta i autobusy są prawie takie, jak w Paryżu? To samo mogłaby napisać o każdem prowincjonalnem mieście we Francji!

Gdyby kto zajrzał tego wieczora do serduszka Eweliny, odczytałby w niem tylko jedno pragnienie: przygody! Ale nic nie wskazywało na podobną możliwość i Ewelina zasnęła w bardzo nieszczególnym humorze.

Obudziła się jednak wesoła jak szczygieł. Szesnaście lat, słońce i pogoda robią wkońcu swoje! Doskonała kawa, kupiona na jej cześć francuska bułka (bułek takich we Francji zupełnie niema), nie zdołały zepsuć radosnego nastroju. A zupełną radość sprawiło pytanie ojca:

„Wolisz chodzić po mieście sama, czy poczekasz, aż się rozmówię z pr. Trzmielewskim“? (p. Rosny wymawiał to: Szmielewski).

Naturalnie, że wolała chodzić sama!

Z ulicy Mazowieckiej, gdzie mieścił się pensjonat, z planem Warszawy w ręce, przez plac Marszałka (chwila wzruszenia przy grobie Nieznanego Żołnierza) i plac Teatralny w dzielnicę żydowską.

Nie. Warszawa nie jest w każdym calu, jak inne miasta—myśli Ewelina, szeroko otwierając ze zdumienia oczy na brudne chałaty, dziwaczne mycki i oblepiające głowy kobiet peruki. Mała Francuzka nie zdaje sobie sprawy, co to za ludzie i co to za dzielnica, cieszy ją tylko odrębność tego, co widzi.

„Jak w Algierze“! przelatuje przez głowę niezupełnie trafne porównanie.

Ale jednak w gwarze, zgiełku i odrębności tej dzielnicy jest coś, co przypomina wschód. I tak, jak tam, na każdym rogu nędzni przekupnie, w koszu mający cały swój majątek. I tak, jak tam, kupiec nie daje przejść obok swego kramu, czy sklepiku, ale zaprasza, ciągnie za suknię, jest natrętny, nieznośny, śmieszny i trochę straszny zarazem.

Plan miasta to rzecz doskonała. Ewelina czuje jednak, że się zaczyna gubić. Wszystkie sklepy wyglądają jednakowo, wszyscy ludzie w czarnych chałatach mają jednakowe twarze... Chęć przygody maleje, nogi pieką, w głowie szumi od obcej mowy i odrobiny strachu — jak wrócę?!

Ale oto u wylotu ulicy migają szyny. Poczciwa, Europa daje znać o sobie. Panna Ewelina idzie szynami do miejsca, gdzie czekają ludzie. Czeka chwilę i wsiada do tramwaju. Wyjmuje plan i dumnie pokazuje konduktorowi, dokąd chce jechać. Otrzymuje na to w odpowiedzi przeczący ruch głowa. Rozumie: nie w tym kierunku! Na najbliższym przystanku wysiada. Czeka.

Po chwili już się orientuje, że trzeba przejść na drugą stronę, chcąc jechać w odwrotnym kierunku. Byle nie tracić głowy! Znowu — plan miasta. Tym razem konduktor kiwa głową potakująco. Ale Ewelina ma tylko francuskie pieniądze. Pr. Rosny (taki typowy dystrakt—profesor z powieści) nie pomyślał o zmianie waluty. I nie pomyślała o tem Ewelina. Czy znowu ma wysiąść z tramwaju?!

„Pani jest cudzoziemką?“ pyta po francusku miły głos i z pod rozwichrzonej grzywki patrzą ciekawe oczy.

„Tak... Francuzką... gdzie mogłabym zmienić pieniądze?“ Nie, stanowczo lepiej nie mieć żadnych przygód, jeżeli nie można mieć naprawdę wielkiej!

„Pani pozwoli... zapłacę za Panią, a potem wysiądziemy, Pani zmieni pieniądze... ja pokażę“! Właścicielka ciekawych oczu nie mówi po francusku biegle, ale mówi. A to już ogromna pociecha.

„Dziękuję... Mąż (tak!..) zapomniał mi zmienić franki... taki dystrakt! Wiadomo: profesor!“ — mówi Ewelina, sama dziwiąc się tej nagłej bladze.

„Ach, pani przyjechała na Zjazd Historyków! Czy można wiedzieć“...

„Nazywam się Eveline Médard, żona tego Médard, pani wie?“

„Naturalnie! czytałam dużo książek p. Médard!“ Właścicielka ciekawych oczu czerwieni się lekko. Ewelina również piecze raka.

„Tak? taka pani młoda a czyta Pani takie trudne dzieła?!“

„Ach, ja nie jestem młoda! To jest mam 20 lat! Zajmuję się historją, bo jestem sekretarką pr. Trzmielewskiego“.

„Ach, p. Szmielewski?!“.

„Zna go Pani?“

„Nie. Ale to znajomy kolegi mego męża p. Rosny“.

Tym razem właścicielka ciekawych oczu dziwi się szczerze:

„Profesor Rosny?“ Ale trzeba wysiadać...

Pieniądze zmienione. Dług oddany. Ale pani profesorowa Médard i sekretarka pana pr. Trzmielewskiego nie myślą o rozstaniu. Pani profesorowa jest głodna. Pani sekretarka proponuje cukiernię. Ciasta — dużo ciastek i lody — to gust pani profesorowej. Pani sekretarka ma bardzo podobny.

Patrzą na siebie. Pani profesorowa jest drobna, szczupła, ma ciemne oczy i bardzo czerwone usta. Osoba, pełniąca funkcje sekretarki, ma oczy szare, wesołe, jasną czuprynę i stanowczo zadługie nogi, bo ciągle obciąga sukienkę.

„Pani jest dawno zamężna?“ pyta.

„Och, cztery lata! Mój mąż jest b. stary, ale to bardzo znany uczony“.

„Przepraszam, zapomniałam jak się nazywa?...“

Na twarzy pani profesorowej maluje się niepokój, potem uraza, wreszcie nieufność.

„Przecież Pani powiedziała, że zna dzieła mego męża?“ daje wymijającą odpowiedź!

„Och, znam tyle dzieł, tylu uczonych! — mówi sekretarka uczonego.— Och, już sobie przypominam! Manot, prawda?“

„Tak, tak“ cieszy się pani profesorowa, powtarzając w duchu: „Manot, Manot, Manot“.

„Ale pani wspomniała nazwisko Rosny...“

„To przyjaciel mego męża. Przyjechał tu z córką. Ale wie Pani, to taki dzieciak, że naprawdę nie wiedziałabym o czem z nią mówić! I strasznie naiwna! Myślała, że w Polsce są takie olbrzymie lasy i niedźwiedzie!" Obie panie śmieją się serdecznie z naiwności panny Rosny.

„Ale dlaczego pani pyta o pannę Rosny?" podejrzliwie rzuca pani profesorowa Medard-Manot.

„Pan Rosny ma być dzisiaj z córką u pp. Trzmielewskich".

Pani profesorowa marszczy czoło.

„I pani tam będzie?"

„Ja? a co jabym robiła między temi kozami?! Bo panna Trzmielewska to przecież też jeszcze dziecko!"

„A miła przynajmniej? Bo chodzi mi o tę małą Rosny..." troszczy się pani profesorowa.

„Czy ja wiem?... Straszny trzpiot... ale jest inteligentna. I wszyscy ją lubią. No, z pewnością mądrzejsza od takiej Rosny!"

„Och. Rosny nie jest głupia! Powiedziałam tylko, że jest naiwna. A to przecież nie to samo... Ale pani z pewnością nie będzie u pp. Szmielowski?"

„Ani mowy! zanudziłabym się na śmierć!"

„Szkoda... Bo ja się wybieram..." cedzi powoli pani profesorowa.

„Pani? przecież pani ich nie zna?" niepokoi się sekretarka. „Nie radzę pani tam chodzić! Straszne nudy! Sami uczeni i te dwie małe..."

„O, jest i pani Szmielowski... Pan Rosny bardzo mię namawia..."

„A ja pani stanowczo odradzam! Zresztą, pani Trzmielewska nie lubi, kiedy znajomi przyprowadzają swoich znajomych, a wiem, że spodziewa się tylko p. Rosny z córką..."

„Słyszałam, że Polacy są bardzo gościnni" — jeszcze się waha pani profesorowa.

„Tak, ale okropni formaliści! nie, naprawdę odradzam pani..."

Godzina czwarta. Czas się rozstać.

„Kochana Madeleine! Wszyscy biorą mię tu za żonę mego ojca! „brzmi początek listu Eweliny. „Mam z tego powodu moc przykrości i zabawy. Bardzo mi się ta rola podoba. I zupełnie do mnie pasuje. Dziś będę na proszonym obiedzie. Naturalnie sami starsi..." i t. d.

„Halu! Pan profesor Rosny z córką! Chodź się przywitać!"

Szare oczy spotykają się z czarnemi. Ciemny rumieniec barwi dwie dziewczęce twarze. A potem wybuch niepohamowanego śmiechu.

„Znacie się?!"

„Och, mamo, nie pytaj? Potem ci powiem — kiedyś — Ewelina, naprawdę myślałaś, że w Polsce są tylko lasy i niedźwiedzie?"

„A ty, pani sekretarko, naprawdę czytałaś dzieła pr. Manot?"

Znowu serdeczny, niezrozumiały dla otoczenia śmiech.

A wieczorem w liście do Denise:

„Znalazłam w Polsce rzecz o wiele cenniejszą od przygody: przyjaciółkę".

KONIEC.

KURJER DEKADOWY Nr. 8

1.X. — 10.X. 1933 r.

Minister Beck w Paryżu.

Niefortunny pakt czterech, który wciąż kołacze się po świecie, był jedną z przyczyn pewnego ochłodzenia stosunków polsko - francuskich, ponieważ, jak wiadomo, Polska była i jest zdecydowaną przeciwniczką tej koalicji czterech mocarstw. To też zarówno społeczeństwo francuskie, jak i polskie powitało z dużą ulgą objaw bliskiej i ścisłej współpracy obu państw, jakiego dała dowód wizyta ministra Becka w Paryżu. Polski minister Spraw Zagranicznych i jego małżonka witani byli niezwykle serdecznie i uroczyście, nie tylko przez rząd francuski, ale i przez Prezydenta Francji, tak, iż pobyt ich w Paryżu był jedną wielką manifestacją polsko-francuskiej przyjaźni.

Dalsze dzieje paktu czterech.

Wydarzenia ostatnich miesięcy zdają się potwierdzać przypuszczenie, że Francja zaczyna powoli rozumieć wszystkie niebezpieczeństwa, jakie są związane dla niej z wprowadzeniem w życie paktu czterech. Jaskrawym dowodem wszelkich trudności i przeciwieństw są prowadzone ostatnio rokowania w sprawie rozbrojenia przez uczestników paktu. Mimo długich rozmów cztery wielkie mocarstwa nie mogą dojść do porozumienia. Francja pragnie przedewszystkiem ustalenia zasad bezpieczeństwa, a co za tem idzie kontroli zbrojeń, a potem dopiero rozbrojenia; Anglja zgadza się tylko na częściową kontrolę (wyłączając naturalnie siebie), uważa jednak, że należy natychmiast przystąpić do rozbrojenia; według Italji kontrola jest rzeczą zbędną i teoretyczną, należy natomiast w pierwszym rzędzie dozbroić państwa rozbrojone (a więc Niemcy), a potem dopiero przystąpić do rozbrojenia państw zanadto uzbrojonych; wreszcie Niemcy odrzucają kategorycznie wszelką kontrolę i domagają się dla siebie równouprawnienia we wszystkich dziedzinach zbrojeń. Nie potrzebujemy dodawać, że Polska podziela zupełnie poglądy Francji w sprawie rozbrojenia.

Szef Rządu Rzplitej w Gdańsku.

W dniu 22 września przybył do Gdańska premier Jędrzejewicz z rewizytą Senatu Wolnego Miasta, którego przedstawiciele bawili niedawno w Warszawie. Na powitanie premjera zebrali się w t. zw. sali książęcej dworca przedstawiciele polskich władz i urzędów, senatu gdańskiego, wysoki komisarz Ligi Narodów, prasa polska i gdańska. Serdeczność przyjęcia premjera przez Wolne Miasto jest dalszym dowodem coraz lepiej układających się stosunków polsko - gdańskich, które weszły na skuteczną drogę bezpośredniego porozumienia. Wyrazem tej poprawy jest fakt, iż po raz pierwszy na odbywającem się obecnie 14-tym zgromadzeniu Ligi Narodów na porządku dziennym nie figuruje żaden zatarg polsko - gdański.

Zmiana ustroju w Austrji.

Austrja, która, jak wiadomo, przeżywa obecnie ciężki okres walk wewnętrznych (wzniecanych zresztą świadomie przez Rzeszę Niemiecką), zdecydowała się w celu samoobrony na wprowadzenie gruntownej zmiany ustroju, która ma doprowadzić do wzmocnienia i skonsolidowania państwa austrjackiego. Biorąc za wzór faszyzm, kanclerz Dollfuss znosi parlament austrjacki i wprowadza prawie dyktatorskie rządy.

Zwycięski pochód pożyczki narodowej.

W trzecim dniu subskrypcji pożyczka narodowa pokryta została więcej niż dwukrotnie, bo sumą 244 miljonów zł. Nadwyżka służyć będzie prawdopodobnie jako zapas na rok przyszły, który, o ile nie zmieni się ogólnoświatowy kryzys gospodarczy, dać może dalszy nieunikniony niedobór.

Dzięki ofiarności i zrozumieniu społeczeństwa polskiego sprawa niedoboru budżetowego rozwiązana została pomyślnie na okres 15 miesięcy. Nawet najmłodsi obywatele Rzplitej spełnili chlubnie swój obowiązek, gdyż spółdzielnie szkolne złożyły w pierwszym już dniu sumę 7000.000 zł.

Cała Polska do Krakowa na 6.X.

6 października był największym świętem wojskowem, jakie miało miejsce w Polsce. 12 pułków kawalerji defilowało przed Prezydentem Rzplitej i Marszałkiem Piłsudskim na wspaniałym tle starych murów Krakowa, aby potem barwną wstęgą ułańskich mundurów opasać zamek wawelski, gdzie złożone są prochy króla Jana III. W ten sposób Polska uczciła 250-lecie bohaterskiej obrony Wiednia przez króla Sobieskiego, dając w tej manifestacji wyraz uczuć narodu, wiernego przeszłości, a świadomego swych zadań w teraźniejszości

M. K.

KRZEMIENIEC





W ciemnej szkolnej sali siedziało dwoje dzieci... Zawsze to sobie przypominamy, myśląc o Krzemieńcu. Dziecko z czarnemi oczyma i z kędziorami czarnych włosów — mały Juljusz Słowacki i dziecko, które miało „włos jasny, kolor oczu szafirowy“ — tak młodo i tragicznie zmarły jego przyjaciel, Ludwik Szpitznagel, na zawsze związani są dla nas wspomnieniem z tém miastem, tak pięknie opisanem w pierwszych strofach „Godziny Myśli“. Stroma góra Bony, z koroną szczerbatych, kamiennych ruin zamku na szczycie, w dole, wyżej wąskie pasmo nieba, rozpięte między wierzchołkami wzgórza, na dnie w dolinie: domy, dworki, tłoczące się w uliczkach, poprzedzielane zieloną gęstwą sadów i ogrodów.

Tych domów jest bardzo wiele, stare i nowsze, stylowe i podobne do ruder, z gankami, wspartemi na białych kolumnach, z balkonikami i galeryjkami, z przybudówkami i podpórkami, z dachami, krytemi czerwoną, karbowaną dachówką i gontem, z łatami w rozmaity sposób. W jednym z takich domów urodził się Juljusz Słowacki, w innym mieszkał jako dziecko ze swą matką, w innym jeszcze mieszkała jego matka w czasach, gdy do niej przyjeżdżał jako student. Bawił się w pachnącym cieniu drzew orzechowych, chodził po wąskich, stromych uliczkach, między białemi dworkami, zbierał kwiaty nad rzeką Ikwą, płynącą daleko za miastem i tu bliżej, na zboczach góry Bony i Czerczy. Wsławił swem imieniem to śliczne miasteczko wołyńskie, schowane na dnie zielonego wąwozu, wierszem zbudował mu pomnik również trwały, jak korona murów, wieńcząca górę Bony.

Dla wielu ludzi, przyjeżdżających do Krzemieńca — to miasto jest jedynie wspomnieniem wielkiego poety. Szukają śladu jego dziecinnych stóp na ślicznych, starych, zaplątanych między wzgórza, domy i sady, uliczkach, spierają się o miejsce, na którem ujrzał świat, idą z pielgrzymką na zielony, zarosły dziko, cmentarz unicki, gdzie miał spocząć po śmierci i gdzie spoczęło gorące, kochające serce jego matki — Salomei Bécu, pod pomnikiem z czarną urną i złotemi literami.

Salomea Słowacka, z drugiego męża Bécu, hodowała tu swojego czarnookiego, niezwykłego, genjalnego chłopczyka w ciszy rodzinnego dworku i w cieple czułych serc. Dochowała się z niego chluby i cierniowej sławy. Po latach osamotniona oczekiwała tu w swym dworku listów, które jej przysyłał ze Szwajcarji, z Ziemi Świętej z Paryża. Tutaj doczekała się wreszcie gorzkiej wieści o jego tak wczesnym zgonie. Tutaj umarła sama i tutaj także żyje po dziś dzień na wszystkich ustach, jako wspomnienie matki kochającej, najlepszej, matki wielkiego poety.

Kiedy wracamy z jej grobu główną ulicą Krzemieńca, ulicą Szeroką — dochodzimy do wielkiego, podklasztornego gmachu, który wznosi się po lewej stronie, jak wielka forteca. Jego czerwone i zielone dachy i białe ściany widać z każdego miejsca w mieście. Zaś z jego murami związane jest imię człowieka, które powtarza się w Krzemieńcu równie często, jak imię Słowackiego. To Tadeusz Czacki, wizytator dawnego Liceum krzemienieckiego, który stworzył tu przeszło przed wiekiem świetną szkołę o najwyższym poziomie naukowym i obywatelskim, który przez tę szkołę dażył do podniesienia oświaty całego Wołynia, który w tej szkole wychowywał i kształcił całe zastępy, pokolenia dzieci.

Słynął przeszło sto lat temu prześliczny ogród botaniczny, pełen rzadkich roślin i wysokich drzew, pracownie naukowe, zbiory artystyczne, wielka bibljoteka, złożona z cennych książek. Słynie do dziś dnia duch szlachetny, piękna działalność oświatowa tej świetnej, dawnej szkoły.

Tadeusz Czacki nie miał własnych dzieci. Ci uczniowie licealni, których wychowaniu, wykształceniu, rozwojowi oddał swe serce, to nie byli jego rodzeni synowie. Może nie wszyscy nawet przynosili mu radość i chlubę swem zachowaniem i postępami w naukach, może byli w ich gromadzie i nieposłuszni i niezdolni. Ale kiedy ich nauczał, rozwijał, podnosił, kiedy się z nimi bawił co dnia na tarasie przed kościołem licealnym, z którego widać górę Bony i stare domki miasta, kochał ich i troszczył się o nich wszystkich, bez różnic z prawdziwie ojcowską miłością. Wierzył, że to pokolenie, ta wielka gromada ludzi, wykształconych w krzemienieckiej szkole, przyniesie pożytek krajowi i chlubę ich duchowemu ojcu.

A dziś przeszło po stu latach jego imię, jego tradycja, jego cele żyją nanowo w murach wskrzeszonego Liceum krzemienieckiego.

Bo po wieku rosyjskiej przemocy i ucisku, który, zniszczywszy w tem mieście Liceum, chciał w niem również zabić wspomnienie pracy oświatowej Czackiego i poezji Słowackiego — mury szkoły krzemienieckiej napełniły się znowu młodzieżą.

Jasne klasy, pracownie naukowe, sala teatralna, warsztaty rzemieślnicze, bibljoteka, odżyły w gwarze wesołej, nowej pracy. Zaś tej pracy dla przyszłości, tej pracy kształcenia, budowania, ulepszania, która tu kipi w gromadzie uczniów, w ich współpracy z nauczycielem, ze starszem społeczeństwem, z podniesieniem i oświeceniem ludu przyświecają wielkie nazwiska z przeszłości Krzemieńca.

Jest wśród tych nazwisk imię Słowackiego, który był tu dzieckiem, który na tle pokolenia swych krzemienieckich rówieśników zajaśniał, jak gwiazda.

I jest imię jego matki — Salomei Bécu, symbol gorącego, czułego, oddanego dziecku — macierzyństwa, które swe pisklę chroni, pieści, ogarnia skrzydłami najtroskliwszej opieki.

I obok tej najlepszej z matek — ojciec — obywatel — wychowawca, ojciec całego pokolenia i ojciec patron, wszystkich uczniów krzemienieckich, poprzez trwanie wieków wizytator, Tadeusz Czacki...

Hanna Mortkowiczówna.

DOUGLAS FAIRBANKS





Wiedzą o tem wszyscy, którzy znają go jeszcze z tych czasów, kiedy ekran przemawiał do widza tylko ekspresją wzrokową, nie uciekając się do pomocy słowa, ani dźwięku. Wtedy właśnie „wielki Doug" — jak go nazywano — reprezentował samą istotę kina — ruch. Doug nie znosił statyki, ani w znaczeniu fizycznem, ani psychicznem. Sam był jakgdyby ładunkiem energji życiowej, która gdzieś musi znaleźć ujście. Jego zdrowe, wysportowane ciało rozsadzała żądza ruchu, a fantazja wyładowywała się w scenarjuszach (najczęściej sam był ich autorem), pełnych niezwykłych przygód i bohaterskich czynów. On był jednym z tych, którzy za pośrednictwem kina wskrzesili kult pięknego, wysportowanego ciała w ruchu; on był odkrywcą i propagatorem rozkoszy wzrokowej, jaką daje piękność linji, doskonałość proporcji, gra mięśni i rytmika ruchów.

Ale to jeszcze nie było wszystko. Dougowi chodziło nie tylko o to, ażeby popisywać się swą fenomenalną sprawnością fizyczną, ale ażeby pokazać, jak można ją zużytkować dla celów „szlachetnych"; nie miała to być przyjemność jedynie dla oka, należało w widzu poruszyć jeszcze pewne struny jego wrażliwości uczuciowej. To też zdolności sportowe Donga wkraczają w dziedzinę artyzmu dopiero w zastosowaniu do bohaterów, w jakich się wcielał. Doug w kinie reprezentował zawsze najpiękniejsze tradycje rycerskie: był obrońcą uciśnionych, biczem dla ciemięzców, najgorętszym kochankiem, najwierniejszym przyjacielem, najszlachetniejszym człowiekiem. Taki był w swych najpiękniejszych filmach: w roli d'Artagnan'a w „Trzech muszkieterach" (wg. Dumasa), w „Znaku Zorry", w „Synu Zorry", w „Złodzieju z Bagdadu", w „Robinie Hood'zie" i t. d.

Od czasu pojawienia się filmu dźwiękowego Douglas Fairbanks zniknął z ekranu ku wielkiemu żalowi swych licznych wielbicielek i wielbicieli, którzy myśleli, że już nigdy nie będą mogli cieszyć się jego radosną sztuką.

I oto, nagle, zjawił się znowu. A chociaż nie jest już ani bohaterem angielskiej legendy, ani — „czarnym piratem", lecz najbardziej współczesnym gentlemanem — jest tym samym kochanym Doug'iem, pełnym fantazji, humoru i radości życia, któremi nas oszałamia i zaraża.

Tym razem jest bogatym turystą, który znajduje się w drodze do Indyj holenderskich, ażeby polować tam na tygrysy. Urzeczony pięknością jednej z wysepek mórz Południowych, zakłada się z towarzyszami, że tam wyląduje i spędzi kilka miesięcy a la Robinson Kruzoe. Nie czeka nawet, aż go podwiozą do brzegu i swoim zwyczajem skacze do wody tak, jak stoi i wychodzi na ląd, wyposażony nie lepiej od swego pierwowzoru — prawdziwego Robinsona. „Gołemi rękami", jak to się mówi, stwarza sobie gospodarstwo, które można nazwać komfortowem w porównaniu z gospodarstwem Robinsona Nr. I. Ale „nowoczesny Robinson" niedarmo był harcerzem. A więc „z niczego" potrafi zrobić wszystko: ma doskonale umeblowany domek, kolejkę napowietrzną, a nawet — radio. Do łatwiejszych prac wciąga zwierzęta: wiernego psa, który przypłynął za nim, oraz małpkę i żółwia, które odpowiednio wytresował. Rolę Piętaszka odgrywa młoda dzikuska, która uciekła z sąsiedniej wyspy przed niepożądanym narzeczonym. Jest chwila, kiedy Robinsonowi grozi niebezpieczeństwo: napad dzikusów z sąsiedniej wyspy. Ale Doug - Robinson ma nie tylko wysportowane ciało, ale również zdolność szybkiej orjentacji. Dzięki swej „kolejce", która w kilka minut przenosi na drugi koniec wyspy, oraz — sprytnemu przyrządowi do zarzucania sieci -- dostaje się na statek przyjaciół, stojący w pobliżu na kotwicy. Zakład został wygrany.

Film ten ma przedewszystkiem tę zaletę, że rozgrywa się całkowicie w plein'air'ach (autentyczne zdjęcia z Tahiti), a więc daje nam to, czego nie jest w stanie dać żaden teatr. Reżyser ze swej strony stara się oddać cały czar współżycia z naturą. Nie dziwimy się, że „człowiek z miasta", zmęczony nawet jego uciechami (bridż, boks, piłka nożna), tam czuł się szczęśliwy. Filmy tego rodzaju są łatwiejsze do zrealizowania, niż takie, gdzie chodzi o skomplikowane charaktery osób i zawikłane sytuacje, kiedy reżyser z pewnych obrazów musi odtwarzać nową rzeczywistość. Zależy to od tego .które sceny i jak ze sobą łączy (t. zw. montaż) i pod jakim kątem dokonane są zdjęcia. Tutaj reżyser też wybiera pewne sceny, ale układa je mniej więcej kolejno tak, jak tworzy się akcje, zwracając głównie uwagę na to, ażeby każda scena jasno się tłumaczyła i była dobrze zagrana. Pod względem fotografji najładniej wypadła scena najazdu dzikusów — wybrzeże pokryte łodziami (zdjęcie dokonane z góry). Nie będę tu wyliczała różnych zabawnych epizodów, które wywołują żywy oddźwięk na widowni; wspomnę tylko o dowcipnem zakończeniu, w którem scenarzysta (znów sam Doug) nawiązał do epizodu, kiedy to dzikuska, nie znająca pocałunku, zamiast tego, dotyka nosa swego opiekuna. Teraz, kiedy dzikuska jest już kabaretową gwiazdą i śle ze sceny całusy publiczności, siedzący w pierwszym rzędzie Doug odpowiada jej przez dotknięcie ręką nosa. Jest to dla obojga wspomnienie prymitywnego i tak pięknego życia na bezludnej wyspie.

St. H.

GASTON CH. RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁUM. STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy)

— Zdanie nie jest kompletne — przerwał Fernand — powiedziałem pani przedtem: „Pani, zdaje się, zapomniała już, że ofiarowałem pani swe nazwisko i majątek"...

— A co ja panu odpowiedziałam, kiedy mi pan ofiarował swe nazwisko i majątek? — spytała Janka.

— Muszę przyznać, zgodnie z prawdą, że pani odmówiła przyjęcia jednego i drugiego... ale dodając, że może kiedyś, później, kiedy pani sama urządzi sobie życie i stanie o własnych siłach, może wtedy zechce pani wyjść zamąż.

— Czy te słowa mogły być uważane za zobowiązanie względem pana? — pytała Janka dalej zimno i ze spokojem.

— Nie, oczywiście, ale zostawiały pewną furtkę nadziei... Tymczasem inny zdołał zająć miejsce, o które ja się ubiegałem. A ten inny, to ty, Piotrze!

— Zamilcz biedaku! — rzekł ze smutkiem Piotr. — I na tem poprzestańmy!

— O nie, nie, odpowiedz... Kochasz Jankę?

— Tak, z całej duszy.

— Powiedziałeś jej to?

— Tak... Czy nie miałem prawa?

— Wiedziałeś, że ją kocham, wiedziałeś... nie zaprzeczaj... Byłeś o mnie zazdrosny! Ukradłeś mi ją... Dlaczego to zrobiłeś?

Mówił ciągle głosem urywanym, stojąc ciągle przy drzwiach.

— A dlaczego ty, wiedząc jakie... uwielbienie mam dla niej, jakie wrażenie uczyniła na mnie, przy naszem pierwszem spotkaniu w Nantes dlaczego, będąc powiernikiem mych myśli i odgadując tajemnicę mego serca, próbowałeś zająć moje miejsce?— odpowiedział Piotr ostro.

Fernand zbladł jeszcze bardziej i oparł się plecami o drzwi.

— Posłuchajcie mnie obaj — odezwała się Janka.

Pochylili głowy, jeden i drugi.

— Nie chcę być dla was powodem wrogich uczuć i niezgody — powiedziała dziewczę drżącym głosem. — I oświadczam wam, że nie będę nigdy żoną ani jednego, ani drugiego.

W oświadczeniu tem było tyle siły, że obaj krzyknęli jednocześnie:

— Janka!

— Nie — upierała się — nie...

Włożyła kask i wyszła przez kabinę Piotra. Fernand otworzył drzwi swojej kabiny, chcąc biec za Janką, ale Piotr ujął go mocno za ramię.

— Zostaw ją... Fernandzie!

— Tak... — szepnął tamten.

Zamienili głębokie spojrzenie i takie samo ciężkie westchnienie wyrwało się z ich piersi.

Piotr bez słowa powrócił do swojej kabiny i zamknął drzwi na klucz.

* * *

Powróciwszy do domu tego wieczoru, Fernand czytał „Temps a".

Między ostatniemi depeszami znalazł jedną z Londynu, która zwróciła jego uwagę. Brzmiała, jak następuje:

„Major Oliver Leselyde, który miał pilotować jeden z samolotów — olbrzymów Andsley — Doddge, spadł z konia dzisiaj w Hyde Parku. Upadek był tak nieszczęśliwy, że major uległ złamaniu lewej nogi i nie będzie mógł wziąć udziału w Locie Okrężnym Starego Kontynentu".

Młody człowiek zamyślił się. Poczem, siadając przy biurku, nakreślił na kremowym welinie, opatrzonym herbem, następujące słowa.

Paryż, maj 1930.

Szanowny szefie!

„Z powodów czysto osobistych, które synowi pańskiemu są znane, jestem zmuszony zrezygnować z pilotowania „Kormorana III" w najbliższym konkursie międzynarodowym".

„Proszę więc Szanownego Pana o łaskawe przyjęcie mojej dymisji i zaznaczam, że moje postanowienie jest nieodwołalne".

„Dziękuję za okazywaną mi zawsze życzliwość i, wyrażając mój najgłębszy żal z powodu konieczności powzięcia takiej decyzji, proszę o przyjęcie wyrazów mojej najgłębszej wdzięczności i przyjaźni".

Fernand Servien de Mas-d'Autours.

Włożył list do koperty i kazał go wysłać pocztą pneumatyczną.

Nazajutrz o godzinie 9-ej rano zjawił się u niego Klemens Durand - Gardel.

— List twój, Fernandzie, był dla mnie przykrą niespodzianką — zaczął. — Lecz zanim zawiadomię o nim Piotra — jak być powinno, skoro jesteśmy wspólnikami, firmowymi i faktycznymi — chciałbym pomówić z tobą... Domyślam się mniej więcej, dlaczego chcesz nas opuścić. Pozwól sobie powiedzieć, że to nie jest bardzo ładne... Przepraszam — przerwał dość sucho, gdy młody człowiek uczynił gest protestu. — Muszę skończyć najpierw swe wywody. Kierowałeś się motywami uczuciowemi, godnemi szacunku, które jednak nie mogą mi wystarczyć. Włożyłem w to przedsięwzięcie znaczną część kapitału i twoje wycofanie się może mnie narazić na wielkie straty.

— Kontrakt nasz przewiduje, w razie nagłego zerwania go przez jedną lub drugą stronę, odszkodowanie w sumie 200 tysięcy franków — rzekł Fernand zimno. — Jestem gotów sumę tę panu wypłacić. I daję panu słowo honoru, że nie związałem się jeszcze z żadną inną formą.

Klemens Durand-Gardel potrząsnął głową.

— Nie trzymamy jeszcze tak daleko — rzekł. — Pomówmy po przyjacielsku, dobrze? Powiedz mi, co zaszło między tobą, Janką i Piotrem?

— Niech i tak będzie — zgodził się Fernand.

Opowiadał długo, siedząc pochylony w fotelu. Czasem głos jego stawał się ochrypły i młodzieniec pocierał sobie dłonią skronie.

— Cóż pan chce, żebym robił między nimi, szefie? — zakończył ze smutkiem. — Niech pan przyjmie moją dymisję, niech mnie pan zwolni, albowiem pomimo wszystko muszę zarabiać na utrzymanie, muszę zaangażować się gdzieindziej.

— Gdzie? U kogo?

— W Anglji, u Andsley-Doddge. Major Olivier Leselyde uległ wypadkowi i nie będzie mógł latać. Chcę zaproponować Williamowi Doddge, żeby mnie wziął jako zastępcę. Wolałbym poprowadzić do zwycięstwa „Kormorana III" — dodał. — Ale nie czuję się na siłach, ażeby przebywać ciągle z Janką i Piotrem, widywać ich razem... I... jest jeszcze jedna rzecz... U państwa, gdy patrzę na Magdalenę...

— Fernandzie... dosyć...

— Niech mi pan pozwoli dokończyć... Ona cierpi... i ja też. Doznaję ciągłych wyrzutów, że mogłem zmącić jej młode życie, jej serce. U państwa niema dla mniej więcej miejsca... Niech pan mi wierzy, że nikt nie żałuje tego bardziej ode mnie.

— Tak... rozumiem cię — szepnął inżynier.

Podniósł się, jakgdyby niechętnie, sięgnął po portfel, wyjął stamtąd ostemplowany papier i położył go na stole.

— Oto nasz kontrakt — rzekł. — Jeżeli zechcesz, będziemy go uważali za nieistniejący, albowiem w tych warunkach nie mogę przyjąć odszkodowania, za niedotrzymanie umowy. Zgadzasz się?

— Tak — odparł Fernand.

Wyjął ze swej sekretery drugi egzemplarz umowy.

W pięć minut później zerwanie było uskutecznione i Klemens Durand-Gardel opuszczał mieszkanie Fernanda, zamyślony bardziej, niż to chciał przyznać sam przed sobą.

ROZDZIAŁ XI.

Pakt.

Nie tylko w świecie sportowym, lecz nawet wśród szerokiej publiczności zdumienie wywołał fakt, że as lotnictwa francuskiego Fernand Servien du Mas d'Autours nie będzie pilotował „Kormorana" Klemensa Durand-Gardela, lecz jeden z samolotów firmy Andsley-Doddge.

Snuto na ten temat najdziwaczniejsze domysły i podejrzewano młodego człowieka, że kierowały nim jakieś fantastyczne pobudki. Niektóre pogłoski były dość złośliwe. Inne w sposób dyskretny wspominały o nieporozumieniu, jakie wywołało między Piotrem i Fernandem pojawienie się Janki.

Położenie młodej dziewczyny stawało się nad wyraz trudne.

Pod grozą wywołania jeszcze większych plotek nie mogła opuścić domu Durand-Gardelów i zamieszkać z babką. A jednak nieraz myślała o porzuceniu wszystkiego, powrocie do Nantes i zajęciu swego dawnego stanowiska u Lemonniere, słowem — o zakończeniu swej olśniewającej karjery lotniczej.

(D. c. n.)

„SIĘ"

W gramatyce jest „się" skromnym zaimkiem zwrotnym, nie posiadającym nawet liczby mnogiej. W życiu — jest to złośliwy chochlik, który na każdym kroku wyrządza nam szkody i płata figle.

Zaopatrzony w czapkę-niewidkę gubi nasze przedmioty („kajet się zagubił"), przewraca kałamarz („kałamarz się przewrócił"), potrąca szklanki („woda się wylała"), drze nasze ubrania („suknia się rozerwała"), a nawet posuwa swoją zuchwałość do tego stopnia, że wchodzi w nas i dyktuje, co mamy robić i co mówić („to mi się tylko wyrwało...").

Proszę zauważyć, ze, nie mając nawet liczby mnogiej, występuje sobie takie „się" w trzech osobach, jako ON (się przewrócił), ONA (się wylała), albo ONO (się wyrwało) i rządzi nami, jak mu się podoba!

Jaka na to rada? A no — tępić „się", jak szkodliwy chwast. Nie mówić: „to mi się zarzuciło", albo „woda się wylała" ale „to zarzuciłam", „wylałam wodę". „Się" jest ambitne. Kiedy się przekona, że w naszem życiu niema dlań miejsca — samo się usunie. I zobaczycie, że w domu będzie wtedy mniej przewróconych szklanek, splamionych sukienek, zbitych szyb i mniej słów, powiedzianych bezmyślnie.

Zofja Poplawska.

A TERAZ POROZMAWIAMY

Cieplo się robi kolo serca, kiedy się czyta taki list jak Twój, droga *Agni*. K. R. (jak nazywasz „Kochana Redakcję") jest ci naprawdę bardzo wdzięczna za taki stosunek do Niej i do pisma. Owszem, wiemy, że niektóre szkoły dyskutowały nasze pismo na zebraniach samorządowych. Przysyłały nam swoje wnioski, które oczywiście były wzięte pod uwagę. Ale trzeba przedewszystkiem pomyśleć o Tobie, Agni. Opisz mi dokładnie, dlaczego nie możesz się uczyć, jakie są Twoje warunki domowe, finansowe i t. p. Czyby nie dało się coś wykombinować? Napisz prędko kochana, jak się sprawa w tym roku przedstawia. Jesteś „rozum", żeś się nie pogniewała o krytykę swego wiersza. Rzeczowa, oparta na dowodach, krytyka (t. zw. czarno na białem), nie może urazić inteligentnego człowieka. Co innego zdawkowe: „brzydkie", „ładne", „nie podoba mi się" i tak dalej. To jest właśnie typowy dyletantyzm.

Całujemy mocno, Agni, i napisz!

Roztargniona osoba, która przysłała miłą kartę z Zakopanego, podając adres (na Lipkach), ale nie podpisując się, niech napisze, jak ją nazywać?

Mała. Czy sprawa brakujących numerów załatwiona? Zarówno ty jak wszystkie czytelniczki możecie zawsze nabyć brakujące numery w administracji „Świata Dziewcząt" W-wa, Solec 87 od 9-ej do 4-ej, lub zamówić je listownie, nadsyłając po 50 gr. za numer znaczkami pocztowemi lub przekazem. Czy jesteś już naszą stałą abonentką? Bardzo trudno Was wszystkie zebrać „do kupy" na stałą prenumeratę.

Hałszcze z Poznania. Dziękujemy za niezapominajkę. Czy symbol wytrzymał próbę wakacyjną? Czy jeszcze pamiętasz o swoim liście do Redakcji? O ogródkach pisaliśmy sporo a o doniczkowych roślinach będziemy pisać i zimą. Redakcja lubi kwiaty i ma pełno lip japońskich (ściśle klonów) na oknach. Kwitną biało (właśnie teraz). Pozatem mamy linję średnicową (o której była mowa w pierwszym powakacyjnym numerze) prawie nad głowami. Pociągi chodzą często i mówią o tem, że można pojechać gdzieś daleko. Napisz jeszcze. Jak się udała grządka??? Co pięknego i smacznego wyrosło? Dział filmowy postara się spełnić twoją prośbę. Najlepiej, jak macie takie poszczególne interesy, piszcie na osobnych kartkach „dział filmowy", „dział ogrodniczy", „dział spożywczy", i t. p. Twoja „wiosna" będzie rozpatrzona w „Seminarjum".

Dody ze złotego wzgórza. Twoja fotografja poszła. Czy masz jeszcze do nas jaki żal w sercu? Kinomanja będzie rozpatrzona w „Seminarjum", lub na waszej stronicy.

Marychna z Krakowa. Dziękujemy za adresy. Zdaje się że jesteśmy b. punktualni w tym sezonie. Napisz nam jeszcze dokładnie, co ci się w piśmie podoba, to dla nas bardzo ważne. O dziennikarstwie i bibljotekarstwie będą artykuły już niedługo. Wogóle wyczerpiemy wszystkie specjalności.

Basia G. z Bydgoszczy. Postaramy się zastosować do twoich życzeń. Czy sprawa adresowa uregulowana?

Gaz ziemny czy dostał odpowiedź? Jeśli nie, niech napisze jeszcze, a postaram się szybko odpowiedzieć.

Danuta z Gdyni czy ma załatwioną swoją sprawę?

Sally Sweet. Żebyś wiedziała, jak to przyjemnie dostać drugi list od tej samej korespondentki. Zjazd czytelniczek „Świata Dziewcząt" będzie można urządzić dopiero wtedy, kiedy pokryjemy cały kraj gęstą siecią prenumeratorek, zawiążemy związki, kluby itd. Niestety, nie mogłam ci odpisać przed wakacjami, bo, jak wiesz, nie wychodziliśmy. Zawieszenie to zdecydowane zostało w ostatniej chwili i dlatego nie mogliśmy uprzedzić was zawczasu. Początkowo zamierzaliśmy wychodzić przez wakacje. No, ale teraz znów jesteśmy razem, a to grunt. Czy pojechałaś wkońcu na obóz, czy nad morze? (szczęśliwa istota! Nic tylko wybierać). Fotografje własne i reportażowe przesyłajcie, a jeśli będą ładne i ostre, będziemy je zamieszczać!

Sally chciałaby wiedzieć, jak wygląda np. *Chinka*. Czekam na trzeci list, narazie dowidzenia!

A feljeton? Oczywiście, musi być na osobnym papierze, ale może być w tej samej co korespondencja, kopercie.

Dziewuszka. Dajże spokój z temi szkolnemi dziewczynkami! Więc jeśli nie jesteś w szkole, to nie możesz nas czytać? Nic podobnego. My jesteśmy dla wszystkich. Bardzo dobrze i mądrze urządziłaś swoje życie *Dziewuszko*. Nie cierpiałaś nauki szkolnej, więc gospodarujesz z zapałem w domu i jesteś szczęśliwa. Może byłyby ci się przydały jednak jakieś kursy gospodarcze, czy ogrodnicze, na wypadek, jeśli osiądziesz na stałe na wsi, co tak lubisz. Będziemy „wychodzili" regularnie w tym roku, to ci przyrzekam. Jakże wyglądają dalsze nieporozumienia z kogutem zabijaką? Utwory twoje daję do rozpatrzenia w naszem „Seminarjum", ale czy nie spróbowałabyś przysłać nam „reportażu" w formie np. wyjątku z pamiętnika wakacyjnego „Mój dzień pracowity na wsi", czy coś takiego? Myślę, że czytelniczki z miasta zainteresowałoby to. A jak spędzasz czas w miasteczku?

Dowidzenia, *Dziewuszko*, napisz jeszcze.

Naszej Zosi. Dobrze, odszukamy twoją nowelkę. Nie bój się krytyki, przecież nikt tu się nie bawi w złośliwości. Czyż nie lepiej na początku twórczości zdać sobie sprawę z własnych plusów i minusów, niż dalej brnąć po omacku? Za dobre życzenia dziękujemy.

Japonce. „Świat Dziewcząt" można zaprenumerować i wstecz, to zn. napisać do administracji i przesłać pieniądze za numery, które już się ukazały przedtem. „Świat Dziewcząt", jak wiesz, zaczął wychodzić w styczniu 1933 r. i wszystkie ubiegłe numery są do dyspozycji nowych czytelniczek. Może napiszesz dłuższy list, *Japonko?*

Bajce i Wamie. Ależ tak! Zrobimy i niejeden konkurs fotograficzny. Narazie macie literacki do rozstrzygnięcia. Cieszymy się, że się podobamy całej klasie. To ludzka rzecz — cieszyć się z powodzenia!

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rozwiązanie zadania z Nr. 15 „Świata Dziewcząt".

1. Sherlock Holmes. 2. Don Kichot. 3. Wuj Tom. 4. Robinson Kruzoe.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Baranowicze: Ryszkowska E.; *Będzin:* Rechtszaftówna Irena; *Bochnia:* Karpfówna Zofja; *Bydgoszcz:* Endówna Halina, Rozwadowska Irka; *Cieszyn:* Jasicka Zdzisława; *Dobrzyń:* Baszkowska Ira; *Gdańsk:* Keimkiewiczówna W.; *Gdynia:* Borkowska Halina; *Grabiny:* Stubenvoll Lila; *Grójec:* Zarzecka S.; *Jasło:* Szydłowska Oleńka; *Kamionka Strumiłowa:* Frankiewiczówna Marja; *Karwina:* Przygodzka Henia; *Katowice:* Domirska Ninka, Grabianowska Bożena; *Kazimierz:* Czaplicka Hanka; *Kraków:* Hladejówna Róża, Sołtysówna Danka, Warenhauptówna Marysia; *Krosno:* Dymnicka Iruta; *Królewska Huta:* Żywierska Wanda; *Leszno:* Megler-Eftymowicz Hanka; *Lwów:* Friedmanówna Zofja, Kaczmarczykówna Bogusława, Łomnicka Ewa, „Niedźwiadek"; *Łódź:* Pawlakówna Helena, Rozenthalówna Halina; *Łuck:* Kamiński B., Lenderówna Ewa, *Ostrów Wlkp.:* Kujawska Halina, *Piotrków Tryb.:* Majznerówna Dita; *Poznań:* Betlejewska Irena, Magdziarkówna F., Nowicka Elżbieta, Rożnowska Agnieszka, Sławska Miecia; *Przemyśl:* Styfi Jadwiga, *Rabka:* Chwastkówna Marja, Englicht Basia; *Radom:* „Morowe Sztubaczki", „Polska Dzieweczka", Zagadzianka Franciszka; *Radymno:* Kisielewska Halina; *Ruda Różaniecka:* Oleńska Róża; *Siemianowice:* Kossakówna Mira, Pawłowska Jasia; *Tomaszów Mazowiecki:* Pogorzelska Irena; *Warszawa:* Błońska Stefanja, Borkowska Krysia, Derwińska Wanda, Drzewiecka Hela, „Błękitna Pchełka", Dawidowicz Ewna, Gaband Iwonka, Gnoińska Lusia, Steczkówna Krystyna, Herkfinkłówny Hala i Hanka, Jacobsonówna Hela, Kaczmarkówna Jadwiga, Koszutowska Hanna, „Krycha", Kozaczewska M., Kurowska Zofja, Kopytowska Marja, Łopińska Barbara, Opitz Danka, Piętkowska Bronisława, Serejska C., Shopowiczówna Zosia, Techtermanówna Hanna, Znaniecka Danuta, Żurowska Krystyna; *Wilno:* Kobecka Olga; *Wolica:* Kuczyńska Stasia, *Zakopane:* Rytkówna M.; *Zakrzówek Lubelski:* Górnicka Mietka; *Zbaraż:* Matecka Krystyna.

Nagrodę wylosowała p. *Chwastkówna Marja* z Rabki.

ENCYKLOPEDJA ŚWIATA DZIEWCZĄT

13) *Vixit* — dosłownie: żył. Wyrażenie łacińskie, używane przez starożytnych Rzymian przy ogłaszaniu czyjejś śmierci.

14) *Medice, cura te ipsum!* — dosłownie: Lekarzu! ulecz siebie! Wyrażenie łacińskie stosowane i dzisiaj. Mówi się: medice, cura te ipsum do ludzi, dających rady, które powinni stosować przedewszystkiem do siebie samych.

15) *High life* — dosłownie: wysokie życie (czytaj haj lajf). Wyrażenie angielskie, oznacza wyższe sfery towarzyskie, synonim arystokracji.

16) *Manu propria*, dosłownie: własną ręką. Wyrażenie łacińskie, używane dla podkreślenia, że ktoś podpisał własnoręcznie.

17) *V. C.* — skrót angielski — oznacza: *Victoria Cross*, czyli Krzyż Wiktorji. Jest to wysokie odznaczenie, nadawane w Anglji wojskowym.

18) *Maladie de pays*, dosłownie: choroba kraju. Wyrażenie francuskie, oznacza tęsknotę do ojczyzny, nostalgję.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Warunki prenumeraty: roczne — zł. 12.—; półrocznie — zł 7.—; kwartalnie — zł 3.50; miesięcznie — zł. 1 30.

Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość 1 łamu 52 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87, tel. 244-18; Tow. Reklamy Międzynarodowej Sp. z ogr. odp. Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; Międzynarod. Biuro Ogłoszeń, Senatorska 29; „Ruch" Wydz. Ogł., Poznańska 68; Jan Apte, Zielna 26; „Par", Bracka 17; „Merkury", Królewska 49; Kraków: „Par", Rynek 46; Cieszyn: Rudolf Pszczułka, Rynek; Katowice: „Par", Poprzeczna 8; Lwów: „Par", Akademicka 14; Łódź: Fuchs, Piotrkowska 50; Poznań: Polska Agencja Reklamowa „Par", 27-go Grudnia 10; Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Kohlenmakt 10.

Redaktorka naczelna: Zofja Popławska.
Komitet Redakcyjny: Wanda Borudzka, Hanna Januszewska-Moszyńska i Zofja Miszewska.

Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ".

Redakcja i Administracja: **Solec 87, tel. 244-18 i 787-03.** Konto P. K. O. Nr. 18.800
Redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od g. 6 do 7. Sekretarjat czynny: poniedziałki i środy od g. 14 do 16, piątki i soboty od 10 do 12.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.